



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

WIECZORNE PIEŚNI.

IV.

A kiedy odchodzi leciuchną swą nogą,
To gasi za sobą słoneczko nad drogą,
I skrzydłem unosi w posępne te mroki
Wiosenne marzenia, wiosenne uroki....

I woła do ciebie:

„Skończony twój dzień!

Pożegnaj ty młodość....

Idź w cień. idź w cień!“

Ach! gdzie znajdziesz drogę wśród zmierzchu
[i mgły?

Już rosa opada.... to łzy! to łzy!....

A kiedy odchodzi, raz jeszcze ramiona
Wyciąga do ciebie z ostatnim uściskiem....

Co w życiu najdroższem, co było ci blizkiem,
Omdlewa w pomroce—i ginie—i kona....

I woła do ciebie:

„Skończony twój dzień!

Pożegnaj ty miłość...

Idź w cień! idź w cień!“

Ach! czemuż żyć będziesz? czemuż karmić swe sny?

Już rosa opada.... to łzy! to łzy!....

A kiedy odchodzi, zamiera świat cały,

I staje przed tobą posępny i cichy....

I serce zamyka ten powój, ten biały,

Co ustom gorącym otwierał kielichy....

I woła do ciebie:

„Skończony twój dzień!

Pożegnaj ty szczęście....

Idź w cień! idź w cień!“

Ach! gdzie się przytulisz? ach, gdzież spo-
[czniesz ty?

Już rosa opada.... to łzy! to łzy!....

V.

A któż ciebie będzie złotem

Chato, odziewał?

I tęczowem wód rzeszotem

Blaski przelewał—na strudze,

Blaski przelewał?

Kto ci będzie szał pod nogi

Jasne kolory,

Gdy zapada dzionek błogi,

Za lasy bory—het, cudze....

Za lasy, bory?

A kto w twoich krzywych kosach

Iskry rozżarzy?

Kto po łąkach i po wrzosach

Zbudzi kosarzy,—o świecie,

Zbudzi kosarzy?

Przyjdzie tobie stać tak w cieniu

Tej czarnej roli....

I zagłuchnąć w krzywd milczeniu,

W długiej niedoli,—jak życie,

W długiej niedoli.

Przyjdzie tobie nocką ona

Stać we łzach rosy,

Gdy nad łąką wysrebrzoną

Mgła strząsa włosy—w ciemności,

Mgła strząsa włosy.

I nie będzie dnia dla ciebie,

Przez lat tysiące,

Aż na ziemi i na niebie

Zapłonie słońce—przyszłości,

Zapłonie słońce!

VI.

Czemuś ty mi, życie,

Nie dało do ręki

Srebrzystego sierpa,

A w usta piosenki?

Czemuż ja nie wstałam

Z zorzami rannemi,

By żąć nasze żyto

Na czarnej tej ziemi?

Czemuż z mego czoła

Pot nie spłynął rosą?

Czemuż ja dziś nie z tych;

Co te snopy niosą?

Gdy słońko zapadnie,

Żniwiarka schylona

Ostatnią garść zwiąże,

Wyciągnie ramiona,

I razem z tym sierpem

Porzuci na ziemię

Prostego żywota

Trud cały—i brzemie.

A kiedyż ja rzucę

To krwawych łez pole,

Gdzie stanąć mi przyszło
 Na dolę niedolę?...
 Nie żęłam ja żyta,
 Nie żęłam pszenicy:
 A niosę snop ciężki
 Wieczystej tęsknicy!
 O zmroku go dźwigam,
 I dźwigam o świecie...
 Ach, kiedyż ty duchom
 Dasz spocząć, o życie?...

Marya Konopnicka.

OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dalszy ciąg).

Był to widok tak wzruszający: te słowa młodego poety, ta twarz jego piękna, to czoło dumne, oświetlone pierwszemi brzaskami wschodzącego słońca! O własnym niemal położeniu zapomniałem: lzy poczułem w oczach i bądzcobądz. postanowiłem pogodzić się z Romanem. Lecz nim wymówiłem słowo, on podniósł pistolet i zawołał:

— Raz!—Dwa!—Zaczął mierzyć. Oslupiałem i jak nieprzytomny naśladowałem jego ruchy.— Trzy! — Dwa strzały padły — czapka mi z głowy zleciała. Spojrzałem: Romana nie było w łódce, którą prąd niosł z szaloną szybkością. Zdała, w miejscu, gdzie się dym jeszcze nie był rozszedł, wir ujrzałem. W oczach ciemno mi się zrobiło.... Położyłem się na dnie łodzi i zacząłem liczyć: ile w niej ławek było? Gdy doszedłem do czwartej, zaczynałem od początku. Godzinę tak może przeleżałem, wreszcie podniosłem głowę: znajdowałem się w pobliżu Zamku. Przybiłem do brzegu, wysiadłem, łódkę nogą odepchnąłem i skierowałem się ku kolumnie Zygmunta III. Nagle zdało mi się, że król grozi mi mieczem, a krzyżem na niebo wskazuje. Zacząłem krzyczeć i do domu uciekać, trwożliwie się oglądając. Wywiązał się tyfus i zapalenie mózgu, które cudem jakimś tylko zniósła moja natura. Długo chorowałem. Gdy się ocknął, znalazłem przy łóżku matkę. Zacząłem sobie przypominać..... zrazu wszystko wydało mi się snem strasznym. Z trwożą spytałem:—Roman? Matka, zamiast odpowiedzi, podała mi jakieś lekarstwo; wszedł lekarz i znakiem nakazał mi zupełne milczenie.

W kilka tygodni potem, gdy powrócił do zdrowia, dowiedziałem się szczegółowo o wszystkim, co zaszło podczas mojej choroby. Okazało się, że w malignie całą prawdę opowiedział — szczęściem nikt z obcych nie usłyszał tego. Siostra moja Marynia, której ukochanego... zabiłem, wstąpiła do klasztoru... Zenonie! odtąd życie moje, nie życiem, lecz konaniem powolnem. Czy mi zapadły, włosy wypelzły, a resztki ich posiwiwały: a przecież nie mam nawet trzydziestu lat! O kiju chodzić muszę, bo sił mi braknie. Jam Łazarz, cień tylko młodzieńca!

Natchnienie znikło, jeżeli kiedykolwiek było; gram tylko sztuki niewielkie i niedługo, bo mi zaraz robi się tak tęskno, tak smutno!... W każdym uderzeniu akordu, w każdym dźwięku struny słyszę głos Romana, ostatnie jego słowa: „Żegnam cię, Maryo!“ — Boże! dlaczego to wszystko tak się złożyło? Wszak w ostatniej chwili jam chciałem pogodzić, jam dumę swoją zetrzeć w proch pragnął: a los przeklęty, okoliczności nie pozwoliły! W księdze przeznaczenia widać mi napisano: stać się, nie sławnym, lecz przeklętym, i z tego tylko słysząc pomiędzy ludźmi!

Może mi ulży ta spowiedź; lecz, Zenonie, ja, płacząc, piszę te wspomnienia! Świat ten dziwny, wieczna zagadka! Tyle łez, niedoli tyle: a uśmiech gdzie, gdzie szczęście? Jeżeli się zjawi, to nie nadługo, przemknie, musnie skrzydełkiem powie-

wnem, i już go niema — znikło... A niedola, to się uczepli, jak pijawka; gdy się przywiąże do człeka — ratunku już niema: ściga go, jak cień własny... Może ja się mylę, Zenonie! Są ludzie, co twierdzą, że wszystko na ziemi — sprawiedliwe, że być inaczej nie może, że za chwilę męczarni, bozka chwila szczęścia wynagradza, że lza się koi uśmiechem, rana goi rozkoszą... Jest wtem coś prawdy, ale nie wszystko! O! bo ja zwątpiłem o wszystkim: z początku zwątpiłem o ludziach, potem o sobie, swem powołaniu, o którym od dzieciństwa marzyłem, zwątpiłem potem o świecie całym! Nie wiem co prawda, co fałsz, co lzy, co uśmiech. Wszystko się z sobą łączy, jedno się w drugim zawiera, płacze i miesza; tworzy się chaos w mej duszy, którego żadna światłość, żadna prawda nie rozświeca — chaos ponury, ciemny.

Biedna Marynia! Jam wszystko jej zabrał, wszystko swej dumie poświęcił! Teraz lzyylewa, gdzieś w ciszy samotnej klasztoru, nie słucha prośby ostatniej Romana: pamięta o nim! Modli się za nas wszystkich i przebacza. Znam tę duszę kochającą, skorą do poświęceń, do zaparcia się siebie. Może odrobina jej spokoju spłynie i na moją głowę nieszczęśliwą... bo nie już więcej nie pragnę, tylko spokoju! Rozstałem się z dumnymi myślami swemi... Ciszy potrzebuję, uspokojenia, zapomnienia... Pragnąłbym się skąpać w Lety zdroju, ale ta rzeka błogosławiona, rzeka zapomnienia, czyliż istnieje?

Napróżno o nią wołam, jak Manfred...

Tymczasem ograniczone środki nasze wyczerpywały się. Matka, mając, prócz tego, ciężkie zmartwienie — los córki nieszczęśliwej — zmuszona na starość pielegnować mnie, zachorowała... Ach, Zenonie! znowu krzyż postawiłem! Przed śmiercią powiedziała mi: „Marynia przebaczyła...“ Wszyscy, względem których zawiniłem, przebaczyli mi: a czemuż spokoju niema w mej duszy?

Bieda zaczęła mi doskwierać... Doktor B*** (pocziwi!) pomagał mi, ile mógł. Szkoda, że dłoni jego uściśnąć nie mogę! Irena wyszła za owego dziennikarza. Od czasu pojedynku nie widziałem jej. Ostatecznie mój szal ku niej ostygł...

Wreszcie wydałem ostatnią złotówkę. Pracować nie mogłem, nie umiałem; już nie wiedziałem, jak się nazajutrz posile, a w przyszłość spoglądałem apatycznie. Wtem głos mi jakiś zbudził z odretwienia. Wszedł człowiek zewsi i podał mi list od ciotki Eugenii: „Eugenia pragnie cię widzieć — przyjeżdżaj — konie rozstawione!“

— Panienska chora... — dodał posłaniec.

Zenonie, to jeszcze jedna ofiara! Kochało mię to dziecko pocziwe, a tak kochało, że, gryząc się codziennie myślą o mojej zmienności, rozchorowało na dobre. Moralne cierpienie spotęgowało zadawniony ból fizyczny i złamało ten kwiatek delikatny, który należało pielegnować starannie, nie na próby życia narażać... Ubrałem się i pojechałem razem z posłańcem.

— Panienska, jak tylko powróciła z miasta, zaczęła krwią płuć, — prawil stary Grzegorz podczas drogi, — ale nikt o tem nie wiedział: kryła się; a gdy to spostrzeżono, było już — zapóźno! Parę razy już bliska była zgonu. Konieczność chciała widzieć pana... — i płakał wierny sługa.

— Ot i Zahorów, — rzekł Grzegorz. — Wjechalimy ku wieczorowi na dziedziniec.

We drzwiach domu spotkała nas ciotka.

— Zasnęła!... — rzekła cicho. — Wszedłem do domu, a znużony, wkrótce i ja sam zasnąłem. Nad rankiem zbudził mnie Grzegorz:

— Panienska prosi... — Prędko zacząłem ubierać się, lecz ręce mi tak się trzęsły, że sądziłem, iż nigdy się nie ubiorę... Wszedłem wreszcie do pokoju Eugenii; drżałem jak zbrodniarz — oparłem się o krzesło. W pokoju ciemność panowała; okna były zasłonięte. Nieśmiały promyczek wschodzącego słońca padał na łóżko. W tym kierunku ujrzałem bladą twarz dziewczęcia. Wycieńczone chorobą rysy nie straciły sympatycznego wyrazu: owszem nabrały większej jeszcze czystości i idealnego wyrazu; oczy, piękne, lazuruwe, zwiększone w gorączce, z tem większym urokiem spoglądały. Podała mi rękę.

— Dziękuję! — powiedziała, wyszeptala ra-

czej. — Przycisnąłem rączkę do ust i padłem na kolana... Smutek zarysował się na pogodnej twarzy Eugenii.

— Proszę... — szepnęła. — Siadłem na krzesło, przy łóżku i patrzyłem na — anioła. Jakżem był pierwej zaślepiony, jakżem się na niej poznał!

— Chciałam cię widzieć, — rzekła, — bom cię... kochała. Teraz, — mówiła głosem przerywanym, — wobec — teraz chciałam cię pożegnać — dziękuję... żeś przyjechał...

— Przebaczenia! — wyjąknąłem, przyciskając jej rączkę do ust...

— Nie nie mam do przebaczenia — Kocham cię! — Tyś także mnie... kochał... Wiem! Potem — nie wiecznego na ziemi — poznałeś... zawiodłeś się... nadeszły nieszczęścia... O wszystkim wiem...

— Zaślepiony byłem! — a lzy dusiły mię — Jam cię kochał, Eugenio, i teraz bardzo cię kocham. Przebac mi!...

— A był to czas szczęśliwe... pamiętasz? — mówiła, — gdyś mi się poznali; pamiętasz piosenkę: „Odziany... w blask...“? — tu zbrakło jej głosu... Teraz już nie... zaśpiewam... Spróbuj ty!...

Zacząłem nucić.

— Ach, gdyby... skrzypce... tutaj były! — przerażała Eugenia.

Przyniesiono mi skrzypce jakieś. Nastroiłem, jak mogłem.

Zacząłem grać. Chora słuchała mnie uważnie.

— Jak mi dobrze, jak... mi... dobrze! — powtarzała.

Żeby ją długą rozmową nie zmęczyć, wyszedłem.

— Niczego jej pan nie odmawiaj, bo lada dzień, lada godzina... Doktor nie dokończył.

— Więc żadnej nadziei niema, żadnego środka?!...

Zamiast odpowiedzi, doktor zrobił gest rozpaczliwy.

— Daj mi pan tutaj Włochy, ale zaraz! — rzekł po chwili, — to za parę miesięcy jeszcze bym ręczył... Suchoty galopujące! — i wyszedł. Ja zacząłem się tulać po ogrodzie, a z oczu mi wielkie, ciężkie lzy padały. Wkrótce znowu mię zawołano do Eugenii:

— Mów o przeszłości szczęśliwej... Opowiedz mi... jaktośmy się poznali?

Opowiadałem. A dziewczę słuchało, i myślała tonąc w przeszłości, uśmiechało się niekiedy. Wieczorem poszedłem do swego pokoju. Nad rankiem znowu wezwała mnie Eugenia. Oczy jej błyszczały ogniem niezwykłym, na policzkach igrał chorobliwy rumieniec.

— Bracie! — rzekła, — już niedługo — czuje już... Ty mi teraz, przed śmiercią... nic... nic nie odmówisz?

— Eugenio, siostró, — odpowiedziałem, — żyć będziesz i... —

— Przrzeknij!

— Przrzekam, — odpowiedziałem tłumiąc lzy. Ach, jakże cudnie wyglądało biedne dziecię! — Eugenia mówiła dalej:

— Smutno byłoby... mi umierać... w przekonaniu... że zawsze na ziemi byłam samą... samotną... Lżej mi będzie... jeżeli się zgodzisz zostać... moim mężem... Znajdziemy się... gdzieś... tam... Ośłodziś mi tem... ostatnie chwile... Konradzie!... zgadzasz się?!...

Pocziwe dziecię! Potem dowiedziałem się, że, wiedząc o mojej biedzie, Eugenia zapragnęła mnie, jako mężowi swemu, zostawić cały majątek; nie zapomniała jednak przytem i o ciotce. Ślub odbył się w obecności wszystkich domowników. Ksiądz związał nam ręce stulą. Eugenia nawpół leżała, nawpół siedziała na łóżku, oparta o poduszki. Ja klęczałem; wzruszenie niewymowne mnie przejmowało.

Wszystko to wydaje mi się teraz jakimś obrazem fantastycznym, snem jakimś. — Ta przysięga umierającej, ten smutek, rozlany na twarzach obecnych, te żarzące się świece woskowe: wszystko to przypominało pogrzeb... Skończył się akt uroczysty — wszyscy wyszli. Eugenia zarzuciła mi ręce na szyję:

— Nadziei, — rzekła z uśmiechem szczęścia — „symbolu nadziei“ wówczas nie widziałam — nie miałam... gdy... stała na sterze... porównanym przez ciebie... do kotwicy... A wszakżem teraz... twoja!...

Było to na wiosnę. Nastawał czas najniebezpieczniejszy dla suchotników... Ziemia już się zielonością okrywać zaczęła, słońce świeciło cudnie, ptaszęta śpiewały.

— Ach, jak tam ładnie, cudownie!...

I wskazała na półzakryte okno. Wzięłam ją na rękę, odkryłam. Zaniczłam do okna. Nie wiem, jak mi sił starczyło... Łzy ukazały się w oczach Eugeniei; tęskno jej było patrzeć na przyrodę, co po śnie lodowatym zimy do nowego budziła się życia. Ach, ona czuła już chłód mogiły — a jednak powtarzała:

— Jakże mi dobrze! Jak dobrze!...

Teraz dziwię się, że serce mi nie pękło z bólu, gdym tę, żonę moją, a narzeczoną grobu, nosił po pokoju, a ona mi powtarzała:

— Jakem szczęśliwa! — Potem zaraz mówiła:

— Ja jeszcze... tak przedko nie... umrę. Dzisiaj mi... lepiej... Mogę swobodnie mówić... Twój widok... myśl, żem twoja... żona, sił mi dodaje... uzdrawia!... — Biedne dziecię! Pocięszała mnie, a i sama ludziła się: polepszenie było zwodnicze. Ach, Zenonie! Zgodziłbym się być galernikiem, wyrzutkiem społeczeństwa, abym tylko mógł być wtenczas przedłużyc to drogie życie, złagodzić cierpienia tego anioła.

— Opowiedz mi, — mówiła — cokolwiek... albo zaśpiewaj, chociaż i ja mogę już dziś śpiewać:

„Odziany w blask,
Przesłańczę... Iask,
Aniele... stróżu... mój!...“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PODANIA O ŚPIĄCYCH RYCERZACH

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dokończenie).

Mógłbym więcej jeszcze przytoczyć podań; obawiam się jednak, by czytelnicy *Bluszczu* nie powiedzieli czasem o autorze niniejszego artykułu, że się rozbijał niby baba przy kądzieli. Jednakże ani myślę kończyć na tem; pozostaje bowiem najważniejsza część, niby obrok duchowy — mianowicie wykład naukowy. Potrzebuję w sposób dostępny wytłumaczyć: jakie jest właściwe źródło, pierwotny początek wszystkich powyższych i tym podobnych legend i podań. Należy bowiem wiedzieć szanownym czytelnikom, że wszelkie owe baśni, jakim dziś wierzy ledwie dziecko na kolanach u piastunki, są niczem innym tylko szczątkami wiary dalekich przodków naszych, pogańskimi ich dogmatami, podobnie jak dogmatami były klasyczne myty Hellady. Nauka, niedawno powstała, zwana Mythologią Porównawczą, zajmuje się temi baśniami, poddaje wszystkie badania, rozbiera je na części składowe i doszukuje się ich zasady w psychicznych i materialnych warunkach pierwotnego człowieka.

Ten pierwotny człowiek był jako dziecię: żył sercem i fantazyą. Przebudzenie się badawczego, rozumującego umysłu stało się już kresem jego dzieciństwa. Żył on na łonie przyrody; będąc jej dzieckiem, niezawsze okrywaniem pieszczotami, znosić musiał i ciężką z jej ręki chłostę, a bronić się przed jej despotycznym niemal wpływem jeszcze nie umiał. Jak dziecko, widział wszędzie dookoła życie i nadprzyrodzoną; instynktowe, wrodzone poczucie zależności od istot wyższych kazało mu ich szukać w siłach i zjawiskach przyrody, które czcił jako dobroczynne potęgi, lub których lękał się, drżąc jak mała dziecina. Żywa, bujna fantazyja, prawie niepojęta dla nas, snów chłodniejszych, racjonalnych czasów, wszystko naokoło ubarwiała w najrozmaitszy sposób. Człowiek pierwotny był poetą nieświadomym i święcie w poetyczne wytwory swoje wierzył. Przeczuciem ogarniając pojęcie bóstwa, bóstwo to widział nad sobą, dokoła siebie i chodził wpośród zaczarowanego

świata, któremu całkiem inne, aniżeli my dzisiaj, nadawał znaczenie.

Najobfitszem, lubo nie jedynym, źródłem jego pojęć i mytów był świat obłoczny, w milionach fantastycznych kształtów przeciągający nad jego głową. My sami dzisiaj, lubo nauczeni dobrze z fizyki, jak właściwie rozumieć to zjawisko, nieraz wszelako ze zdumieniem spoglądamy, w jakie to dziwne formy układa się ta para nadpowietrzna: oileż większem musiało być zdumienie przodka naszego przed dwoma tysiącami lat, co najmniej, nie pojmującego, że te formy są tylko złudzeniem! Pierwotny człowiek widział w chmurach i obłokach rzeczywiste postaci, dziewy naziemskie, nadprzyrodzone zwierzęta, rośliny, góry i skały niebieskie, a w ich zmienności i unoszeniu się ponad ziemią, dopatrywał się cudownych przymiotów, boskim tylko właściwych istotom. Wszystko to żyło, działało, a, co najważniejsza, na dole ziemian wywierało wpływy potężne.

Różnica tych wpływów była podstawą pojęć dobrego i złego. Z życiem w przyrodzie łączył się nieunikniony dualizm, a głównymi jego objawami było przeciwieństwo światła i ciemności, ciepła i zimna, urodzaju i nieurodżaju, przeciwieństwo dnia i nocy, zimy i lata. Nie były to dla człowieka pierwotnego wyniki koniecznych praw przyrody, ale skutki działania istot naziemskich, żyjących, czynnych, a w ciągłej pozostających walce. Zima i lato, to — dwie pory panowania całkiem różnych bóstw, złych i dobrych, szkodliwych i dobroczynnych. Lato było tryumfem ostatnich; bóstwa niebieskie, *diu superi*, panowały nad światem, dawały ciepło, deszcz, urodzaj, kwieciami zdobiły matkę-ziemię i radowały serce prostego i naiwnego poganina. Nie spały wprawdzie i złe potęgi, demony, biesy — i one chciały zapanować nad światem; ale po niebie przejeżdżał potężny ich pogromca, bóg władający piorunami. — Każda burza była to jedynie walka tego boga, różna u różnych noszącego imiona (Indra, Zeus, Juppiter, Perun, Odin i t. d.), z wrogami bogów i ludzi, siłami piekła, nocy i zimy. Srogie toczono walki w nadpowietrznych szlakach. Tłумы Tytanów zwały górę na górę (chmury), ale potężny ów bóg rzucał piorun za piorunem i strącał zuchwałych napastników w przepaściste otchłanie Tartaru, to jest poza widnokrąg.

Wszelako nadchodził czas, gdy słabło widocznie ramię potężnego mocarza; aż wreszcie na niebie ukazały się złowrogie duchy w postaci czarnych, posępnych chmur i na odrętwiałą ziemię sygnęły zamieć śniegową. Wysłył one z owych pozawidnokregowych czelaści piekielnych, posuwały się zastępami ponuremi przy wtórze świstu wiatrów, ścinających wszystko lodem, odzierają ziemię z jej uweselającej oko szaty, zakuwały płodne jej łono: słowem, waliły na ludzi wszelkiego rodzaju kłęski tem przykrzejsze, iż naonczas nie było, ani wygodnie pobudowanych kamienic, ani pieców hermetycznych, ani puchów edredonowych. W owej ciężkiej porze myśl ludu i pragnienie serc zwracały się do piorunowładnego boga, błagając go, aby wystąpił na niebieskie bojowisko i drużynę czartowską, wraz z mrozem, śniegiem, zawieją, precz odpędził. Bóg jednak nie odzywał się wcale: snadź umarł, poległ w boju z Tytanami. Nie, pierwotny człowiek nie mógł wierzyć w zgon jego, naodwrot on wierzył, że tylko śpi w nadprzyrodzonej skale (chmurze) i że nadejdzie chwila, kiedy zbudzi się ze snu, wyjedzie na niebo na białym koniu (to jest znowu na chmurze) z całą swą obłoczną drużyną i rozpocznie bój zwycięzki, to jest zagrzi, rzuci piorun jeden i drugi, lunie użyzniającym deszczem — chwila, kiedy zagrzi burza wiosenna, w której dziecinna fantazyja ludu słyszała szczęk oręża, tentent koni, wszelkie bitew oznaki.

Ten boski wojownik, śpiący przez zimę w głębi obłocznej góry, a z wiosną wstający do boju, rezultatem którego bywa zwycięstwo nad złem i tyle błogosławionych dla człowieka objawów przyrody, był prototypem, wzorem wszystkich owych śpiących bohaterów. Wiele przyczyn psychicznych pobudzało człowieka pierwotnego, do przypisywania pewnym wybitniejszym śmiertelnikom owej nieśmiertelności boskiej przymiotu. Dziecinny jego umysł, który przenosił znamiona ludzkie

do dziedziny bogów, naodwrot w świecie ziemskim widział odbicie nadprzyrodzonego. Niedarmo śmiali wojownicy, wielcy wodzowie, władcy, mędrcy i sprawiedliwi, znakomici książęta: słowem, mężowie wyrosli nad poziom zwyczajności, byli dla niego synami bogów, a po skończeniu ziemskiej pielgrzymki półbogami się stawali. Kiedy umierał mąż wielki, obrońca narodu, pogromca wrogów, kiedy ustawała potężna i dobroczynna działalność jego, a zgon przecinał naraz najświetniejsze nadzieje, jakie w zmarłym pokładano, ludów, żyjący jeszcze całą pełnią dziecięcego uczucia i przywiązują się do swych książąt i wodzów, w ciężkiej żałobie swej nie mógł oswoić się z myślą, że tak mąż wielki, jak i cała działalność jego na wieki już są dla świata stracone. Więc kazał mu na podobieństwo dobroczynnego bóstwa letniego spać w tajemniczej skale; więc żywił w głębi serca nadzieję, że tak jak bóstwo owo z wiosną budzi się ze snu i tryumfalnie występuje do boju z biesami zimy, tak bohater obudzi się kiedyś w ciężkiej dla narodu dobie i lud swój od ciemności i wrogów uwolni.

Jeżeli rozbierzemy wszystkie atrybuta snu bohaterów, poznamy, że są one wzięte z pojęć o śnie boga lata przez zimę. Podobnie jak bóg gromowładny śpił oni w tajemniczej skale, to jest w chmurze, obok nich spoczywa ich oręż, tak jak gromy spoczywają beczynnie przez zimę. Konie stoją na pogotowiu. Są to owe obłoki, na których Perun z drużyną za plac naziemski wyjeżdża; muszą one konieczne być podkute, bo przecież w jeździe swej sypią iskry, to jest błyskawice rzucają. W skale ściany lśnią się od złota i drogich kamieni; przybysz ziemski w darze kawał szczerego złota dostaje: nic dziwnego — fantazyja ludu we wnętrzu chmur domyślała się skarbów nieprzebranych, a kiedy błyskawica rozdierała tajemnicze chmur łono, pierwotny człowiek nieraz sądził, że to skała cudowna się otwiera i blask jej skarbów razi śmiertelnika oczy. W skale stoją pod ścianą beczki z winem: jest to metafora wody deszczowej, która w naziemskiej krainie była cudownym napojem, ambrozyą bogów klasycznych, lub miodem i piwem nadprzyrodzonym, jakim upajały się bóstwa północne. Podania południowo-słowiańskie kazały Wilom strzedz snu bohatera, a Wila to jedynie uosobienie obłoku, dziewica obłoczna, jasna chmurka, tak często układająca się w postać niewieści. Na dźwięk rogu lub dzwołu wstaną bojownicy do boju z ciemnościami i wrogami tak, jak na odgłos pierwszego wiosennego grzmotu wstanie Perun i wyjedzie na niebo bohater, rozpocznie się bój na ziemi, który jest tylko analogią burzy na niebiosach. Zczasem, kiedy myty z nadpowietrznej dziedziny poczęto ścigać na ziemię, skała owa obłoczna stawała się jakąś górą, określaną niekiedy nawet lokalnie, ale zato zawsze otaczaną czarodziejskim urokiem i tajemniczością.

Goście uczucie ludów młodzieńczych, tak łatwo lgnące do wielkich a dobroczynnych dla narodu mężów, dozwala przypuszczać, że niejednemu z bohaterów zamierzczył przeszłości, zapomnianemu już nawet z imienia, fantazyja ludowa taką mytyczną przeznaczała nieśmiertelność. Z nadzieją w jego powrót czcił lud pamięć bohatera w dniach, gdy losy skąpiły podobnych jemu, a ciężka dola kraj przyciskała. Potem znowu zjawiał się inny mąż niepospolity, znowu wielkich dokazywał czynów i znowu do innego odchodził świata: a lud podobnie tworzył nowe o jego nieśmiertelności podanie. I stawało się częstokroć to, co się tak nierzadko w życiu wydarza: że pamięć nowego bohatera dawnych pamiątkę zacierala. Popęd do tworzenia mytu o śpiących bohaterach, jak wiele innych pogańskich instynktów, trwał jeszcze w czasach, gdy już od dawna nowa, racjonalniejsza wiara postracała bogów z ich niebieskiego tronu. Ztąd tworzyły się myty o osobach historycznych, działających w chrześcijańskiej dobie, baśni pogańskie, w zasadzie, ale zabarwione chrześcijańskimi szczegółkami.

Nie śmiemy twierdzić, że popęd ów w XIX wieku, w okresie chłodnego, krytycznego rozumu, wygał już całkowicie. Wiemy dobrze, jaki urok wywierała na dziadach naszych olbrzymia postać

Napoleona I. Świat ówczesny nie mógł długo pogodzić się z myślą, że Waterloo było kresem jego czynów, a wyspa s. Heleny grobem, nie zaś fazą przechodnią w jego żywocie. Skoro rozeszła się wieść o zgonie wiekopomnego cesarza, wielu sądziło, że to jest tylko wieść tendencyjna, ukuta w celu ukrycia jego ucieczki, i że nieśmiertelny mąż zjawi się niespodzianie i nanowem dzieło chwaly rozpocznie. Kto wie: czy po umysłach niektórych ludzi nie błąka się myśl jego zmartwychpowstania; przynajmniej wielką popularnością cieszyła się rycina, przedstawiająca cesarza, wychodzącego z grobu, z aureolą nieśmiertelności dokoła głowy. Jeśli nie zrodził się myth o Napoleonie, taki, jak o Karolu Wielkim i Fryderyku Rudobrodym, to w każdym razie świat długo wierzył w myth o zmartwychpowstaniu Idei Napoleońskich. Czyż nie mythowi owemu zawdzięczał koronę cesarską i złudną przez tyle lat opinią geniuszu politycznego ów marny epigon, co pod Sedanem tak sromotnie zamknął legendę XIX wieku, legendę... Napoleońską? ¹⁾

SZEREGOWIEC

Wspomnienie z 1870 roku

przez

Alfonsa Badin

(przekład z francuskiego).

(Dalszy ciąg)

Ani w pułku, ani w batalionie naszym nikt nie wiedział, kim i czym był właściwie Dulaurier. Ja, który niby znałem go najlepiej, nic nie wiedziałem o jego rodzinie, położeniu towarzyskim. Wszedł on do wojska w czasie wojny, bo to było obowiązkiem każdego Francuza zdolnego broń nosić, i przybywało nam też ustawicznie tylu ochotników takich, z pałaców hrabiowskich, z warsztatów szweczkich, że nikt ani na to zważał, ani się pytał: kto kogo rodzi i z kąd kto pochodzi? Ale zwykle rzecz rozjaśniała się sama przez się; nazwisko, stosunki, zachowanie się nowoprzybyłego, odkrywały kim był: tu, przeciwnie, nawet ciekawie nie nie docieki. Dulaurier sam nie mówił o sobie, a co do reszty, przebywał jak żołnierz z żołnierzami, nie szukając żadnych ulg, żadnych różnic, jakie w razie żądania otrzymywali ochotnicy z wyższych stanów. Jadł z żołnierskiego kotła, mieszkał z nami w koszarach, służącego nie trzymał, i tylko jakaś wyższość, objawiająca się mimowoli, dawała w nim poznać człowieka ukształconego, umysł wyższy. A był odważny jak lew, i wszędzie, gdzie trzeba było poświęcenia, ofiary może życia, gdzie groziło niebezpieczeństwo, lub trud był cięższy, tam Dulaurier stawał w pierwszym rzędzie. Weszło to nawet w zwyczaj. Na pikietę wysuniętą, na podjazd zuchwały wybierano go zawsze, a koledzy mówili już zawczasu: — Dulaurier tam będzie; to rzecz dla niego; trzeba go tam.

Dało mu to, bez żadnych usiłowań z jego strony, moralne dowództwo nad wszystkimi zuchami naszej kompanii. Gdzie szedł Dulaurier, tam biedzi chcieli wszyscy gorętsi, wszyscy sławi chciwi.

Przytem zdarzył się — jakoś w połowie Sierpnia, wypadek, który zwrócił na niego większą jeszcze uwagę i otoczył go wyższym jeszcze uszanowaniem kolegów. Raz wypadło mu z kolei pójść na posyłkę do generała, na plac Friedland, i odbywał tę służbę spokojnie, jak wszyscy inni, gdy na raz generał Lapasset, przechodząc przez pokój ordynansowy, zatrzymał się zdziwiony. — Edmund! — zawołał, stając przed swoim ordynansem — Edmund! Zkąd się tu wzięłeś, co robisz?

— Jestem na posyłce.

— Widzę, ale cóż u licha? zaciągnęłeś się do mojej brygady, a ja nic o tem nie wiem?

— W stosunkach służbowych nie robi to różnicy.

— No tak, ale nie chodzi tu o stosunki służbowe. Chodź-że ze mną.

Chciał go wziąć pod ramię, lecz Dulaurier się cofnął. — Jestem na służbie, generale, i nie mogę — odparł.

— Zawsze tensam oryginał — rzekł generał, ruszając ramionami, a następnie dodał z uśmiechem: — Ja przecież mam prawo cię złuzować, chodź, posłę do koszar, aby cię zastąpiono.

Dulaurier jednak się nie ruszył. — Za godzinę, generale, kończy się służba i wtedy przyjdę do ciebie; teraz proszę, nie rób mi tej przykrości, aby mnie zastępowano.

— Ale chcę zjeść z tobą śniadanie....

— Za niecałą godzinę będę wolny — odparł Dulaurier, — i generał Lapasset kazał dnia tego podać sobie śniadanie o godzinę później, co gdy doszło do koszar, wszyscy szeroko otworzyli oczy. Żołnierz, na którego generał czeka ze śniadaniem i któremu mówi po imieniu! Mnie to nie zadziwiło bynajmniej, bo wiedziałem od pierwszego dnia poznania, że Dulaurier musi należeć do wyższych warstw społecznych.

Ledwo że Dulaurier skończył swoją przemowę, która tak nas wzruszyła i uniosła poza położenie obecne, pruski oficer z głównego sztabu przysunął się do nas z cygarem w zębach. Otrzeźwieliśmy odrazu; porucznik Meunier podał mu w milczeniu spis ludzi i rzeczy i bez żadnej zamiany słów oddalił się z oficerami kompanii.

Stało się! Od tego momentu byliśmy już, nie wojskiem, nie żołnierzami, ale trzodą ludzką, trzodą, która niestety! może się obejść bez starań, jakich nie odmawia się naprzykład wołom, owcom. Dano nam to poznać w tej samej zaraz chwili.

Skoro tylko oficer pruski przerachował nas i przekonał się, że ma swoją liczbę w całości, podzielił naszą kolumnę na setki. Dwa szpalery Prusaków z bagnietami na karabinach wzięły nas w środek siebie, aby przecież strzeżenie nas mogło być jeszcze wygodniejszym; kazano nam zejść z drogi i rozłożyć się obozem zaraz obok na polu, które deszcze dni kilku zamieniły w jezioro. Nie było to już błoto, ale woda poprostu, a my po największej części nie mieliśmy ze sobą nic, żadnych koców, żadnych okryć, tylko mundury otrzymane przed obłężeniem, więc w lecie, a i to już znoszone, zniszczone ogromnie. To samo działo się z butami — były w strasznym stanie.

Prócz tego umieraliśmy z głodu. Przez dwa ostatnie dni: 27 i 28 dano, nam jedynie po 250 gramów chleba, a z tych, zmniejszonych tak bardzo, racyj nie zachowaliśmy sobie nic na zapas, bo mówiono, że wydano dla nas z magazynów miejskich i fortecznych intendenturze pruskiej na dzień pierwszy chleba, mąki, ryżu, soli, kawy i wódki racyą pełną. Ale marszałek, snadź zajęty czemś ważniejszym, zapomniał zaznaczyć w protokole, że żywność ta zostanie rozdzieloną między wojsko francuskie zaraz po akcji poddania się. Książę Fryderyk Karol przyrzekł to przecież osobiście generałowi Changarnier w dniu 25 i oświadczył, że natychmiast po przejściu wojska naszego w ręce pruskie, będzie mu rozdana obfita żywność. Mimo tej obietnicy jednak i wskutek niepojętej a trudnej do pojęcia i określenia niepamięci ze strony Bazaine'a, pozostawiono nas przez dwadzieścia cztery godziny bez żadnego pożywienia. Mówiono w armii głośno, że tak to, jak poprzednie, zmniejszenie racyi miało cel dobrze obmyślany; bo kiedy jakie silne a nieszczęśliwe zwierzę zostanie schwytane w sidła, najpierwszym środkiem obłaskawienia jest, że je głodzą. Osłabnie, i w tym stanie beznadziejności, niemocy, robią z nim, co chcą, i w ten sposób oswoi się z nowym położeniem, nie rozbijając głową krat klatki swojej.

Gdy się doda do tego deszcz, który siekł z góry, i błoto, w jakim kazano nam obozować, nie trzeba się dziwić, że znaczna ilość biedaków, nie przejętych jeszcze tą myślą, że pierwszą cnotą niewolnika jest umiejętność cierpienia w cichości, poczęła sarkać, a wreszcie burzyć się głośno.

Wtedy strażę pruskie, które nas otaczały, jak bydło na okólniku, nie wchodząc w to, jaką może być przyczyna szemrania nieszczęśliwych, przybliżyły się w postawie groźnej, jak gdyby gotowe do uderzenia na nas.

To jeszcze wz mogło wzburzenie; mogła nastąpić rzecz straszna, bo większość nieszczęśliwych doszła do rozpaczy, ale na szczęście był z nami Dulaurier. Umiał po niemiecku i oświadczył to towarzysząco, — oświadczył, że się porozumie ze strażą i prześle wyższym władzom niemieckim wiadomość o naszym stanie. Uspokojono się też na jego głos, jak zawsze: ale jak miał dokonać obietnicy? Po pierwszym wyrazie wymówionym do najbliższego żołnierza pruskiego, dostał kolbą w piersi; nie stracił przecież ani odwagi, ani nie zmienił postanowienia i czekał, aby przemówić do pierwszego officera, który będzie przechodził na odległość jego głosu. I tak też zrobił; jakiś kapitan pruski, usłyszawszy wezwanie czystą i poprawną niemieczyzną, najpierw zadziwił się, że nędzne niewolniki francuskie, mogą znać tę jego mowę szlachetną, potem zbliżył się do przemawiającego. Ale na pierwsze słowa Dulaurier wyprostował się wyniosło i krzyknął, wprawdzie po francusku, — ale jaką francuszczyzną! — Cicho być, nie mamy rozkazu!

Dulaurier przecież znów zaczął łagodnie, spokojnie, chciał przedstawić położenie obecne, ale grubianin wrzasnął: — Cicho... jutro dostaniecie jeść... ani słowa więcej.

— Jutro połowa moich towarzyszy już się zapewne nie podniesie, aby z tego korzystać, — odparł Dulaurier.

— Mule, koniu uparty! — zakrzyknął wtedy officer. — Najpierw odkryj głowę... Słyszysz?... Kiedy żołnierz francuski mówi do officera niemieckiego, powinien stać frontem, odkryty...

Czy Dulaurier nie zrozumiał, bo officer krzychał to już ponownie, czy też zdjęła go naraz duma szalona: ani drgnął. Wtedy tamten, uniesiony już do najwyższego stopnia, podniósł szpicrutę i zamierzył się nią, jakgdyby chciał uderzyć w kępi niewolnika. Dulaurier uprzedził go przecież: zdjął kępi z głowy i rzucił precz od siebie, wyprostował się też, ale nie było to bynajmniej wyciągnięcie się służbowe, nie... Wzrok francuskiego niewolnika spotkał się ze wzrokiem jego niemieckiego pana, spotkał się i nie spuścił przed nim.

W temsamem okamgnieniu dwudziestu nas pokroczyło naprzód. Wszyscy również zerwaliśmy sobie kępi z głowy i cisnęli je w błoto, aby Dulaurier sam jeden nie stał odkryty. Staliśmy murem za nim i nikt na świecie, żadna siła ludzka nie byłaby była zdolną znieważać go bezkarnie. Coby się stało potem? nie myśleliśmy zgoda. Stało się to wszystko w przeciągu jednego technienia, jednego uderzenia serca w piersi.

Z tamtej strony również strażę pruskie przysunęły się szybko do swego officera.

Upłynęła tak może minuta czasu — minuta straszna, w której życie, nietylko nas kilkunastu, ale całej kompanii, wisiało na włosku. Niechby zuchwały Prusak posunął się był o pół kroku dalej i dotknął nią Dulaurier'a, bylibyśmy wszyscy cisnęli się na niego. A w tyle za nami już też znajdowała się zbита gromada i bylibyśmy tylko przednią strażą tych, którzy w tej chwili, w tej minucie byliby dali istnienie swoje za cześć ukochanego towarzysza — za honor francuskiego żołnierza. Czyż to nie on, nie Dulaurier, wytlómaczył nam niedawno, że każdy z nas, nawet niewolnik, to Francuza, którą przedstawia?

Czy coś ludzkiego poruszyło się w piersi Prusaka, który zresztą był jeszcze młodym, więc nietyło zatwardziałym, czy spokojny wzrok Dulaurier'a nakazał mu mimowolne uszanowanie, dość, że p. kapitan kiwnął pogardliwie i razem litościwie głową, wykreślił się nalewo wtył i poszedł sobie, włokąc z hałasem długi, brzęczący pałasz.

Strażę naszej widocznie nie podobało się rozwiązanie. Grozili nam pięściami, urągali, na szczęście w niezrozumiałych dla nas wyrazach, i mszcząc się, że nas samych sieć nie mogli, bili nasze kępi i z grubym, dzikim uśmiechem odrzucali je na bagnietach daleko poza obręb przeznaczonych nam miejsc. Ale był to z ich strony trud próżny, bo

¹⁾ Upraszamy czytelniczki i czytelników „Bluszczu”, aby wrazie usłyszenia podobnego rodzaju legendy w okolicach, które zamieszczają, racyli opis jej przesłać do Redakcyi. (Przyp. Red.).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Październiku 1881 r.

Kongres literacki międzynarodowy.

Prawo własności literackiej jest przedmiotem spornym. — Gotowość obrad kongressu. — Ludzie i rzeczy. — Francuzi, Niemcy, Kraśwowski. — *Concordia* (Festkneipe). — Maenergesangsverein. — Kahlenberg. — Semmering. — Salon magnacki u dziennikarza. — *Lazarus O zadaniu kongressu*. — Mickiewicz *O przesądach*. — Ulbach *O W. Hugo*. — Lermina i Ulbach *O Wiedniu*. — Rittershausen *O kobietach*.

(Dalszy ciąg).

To, co się u nas nazywa *towarzystwem, salonem*, są to pojęcia i rzeczy w Wiedniu zupełnie nieznanne — poza obrębem arystokracji w porze zimowej. Nic więc dziwnego, że goście kongressowi domowego życia poznać nie mieli sposobności; niema tu wcale domów, któreby przyjmowały, poza knajpą nie istnieją żadne zebrania. Ztem wszystkim jednak otworzył się dla całego kongressu, jeden *salon*. Rzecz to z wielu względów ciekawa: salon we własnym pałacu gospodarza, a gospodarzem tym *dziennikarz*, a dziennikarzem tym — Izraelita polski ze Lwowa — p. Scheps, redaktor główny *Tagblattu*. Na tem wydawnictwie pisma drukującego się na bibule, organu brukowego, ale wyborne posiadającego wiadomości, a czytwanego przez 36,000 prenumeratorów i odpowiednią liczbę czytelników poza prenumeratą, urósł tutaj p. Scheps na potęgę publicystyczną — no, i mieszka już w pałacu. Pismo jego jest centralistycznym t. j. trzyma z Niemcami, usiłującymi wtłoczyć wszystkie kraje pod swoją hegemonią; jednak p. Scheps zna nasze stosunki, sam mówi czysto popolsku: więc w *zasadzie* przeciw Polakom nie występuje, za to nad Czechami się znęca. Przyjęcie było magnackie. Ogród, otaczający pałac, oświetlony lampami elektrycznymi; na dolę garderoba, — z jednej strony kawiarnia turecka, z drugiej czarda węgierska. Tam Turek, warzący kawę w srebrnych naczyniach, ottomany, cygara, jakich nikt inny podobno w Wiedniu niema; tutaj podawano gulasz węgierski. Wpółpiętra sięn obszerna, niby atrium, z niej dwa wejścia do salonów, pokoi, alków. Po ścianach gobeliny, obicia, firanki, aksamitne i jedwabne, biblioteka, zaciszne budoary zbrojownia, bufet najzbytkowniejczy, a obok pokoje jadalne, wreszcie, w białej sali, produkcy. Artysty i artystki z teatrów cesarskich grali i śpiewali; przedstawiono komedyjkę pofrancuzku, przedstawiono *specyalność* wiedeńską: parodyę *Fausta*. Towarzystwo, prócz kongressu składali literaci i dziennikarze z żonami, trochę świata finansowego, trochę artystycznego; damy w strojach balowych. Rozpoczął się raut po 10 w., ukończył około 3 w nocy — podano wtedy i ciepłą kolacyę, a u Turka było ciemno od dymu.

Najbardziej zajmujące odczyty na kongresie mieli:

I. *Lazarus: O zadaniu kongressu* poniemiecku:

„W dawnych, starożytnych czasach, gdy prowadzono wojny, występował jeden po drugim wojownicy i walczyli z sobą, każdy za swój naród. W dzisiejszych zgromadzeniach naszych, przedstawiciele różnych narodów występują jak rozjemcy ogólnego pokoju. Ludy starożytne wahały się: gdzie umieścić ten najwyższy ideałny stopień, na jaki ludzkość wejść mogła, — w przeszłości, czy w przyszłości. Dziś już zgadzamy się na to, że ideał ów nie leży w przeszłości, lecz, że szukać go w przyszłości potrzeba. Ludy starożytne ożywione były jeszcze wiarą, że przyjdzie kiedyś dzień, będzie gdzieś miejsce, w którym ludzie zbiorą się, ażeby tam czerpać w źródle mądrości i prawdy. Dziś wiemy, iż możliwości takiego czerpania dobijają się potrzeba pracą. Wiemy z dziejów ludzkości, że, jak prawdy nie odkrywała jednostka ludzka, tak jej i pojedynczy jakiś

naród odkryć nie zdoła. Nawet gdy chodzi o dobro jednego ludu, nawet gdy chodzi o to, aby indywidualność swoją wnieść do najwyższego stopnia, jak Ulbach powiada, i aby każdy człowiek zachował swą indywidualność, to cel ten osiągnięty zostanie pod tym tylko warunkiem, że lud dany uczyć się będzie od wszystkich innych ludów; bo tylko ten, co od wszystkich się uczy, może też i sam uczyć wszystkich. Lud, który dość wysoko stanął, aby mieć otwarty umysł i ducha otwartego dla szukania prawdy, bez względu na to od kogo i z kądby ona pochodziła, — lud taki może działać dla siebie i dla wszystkich innych, dla ludzkości całej. Z rozmaitych zgromadziliśmy się tu ludów, mówimy rozmaitemi językami, rozmaitego jesteśmy ducha. Jestże to *assocjacya* i czy być może? Słowo samo nie dokaże tego, lecz duch dokaże. Zachodzi pytanie: Czy się duchem spotykamy, a ja mówię, że się spotykać możemy. Gdy się zbierają literaci, gdy zasiadają literackie towarzystwa: toż w takim razie zbierają się kollegi szkolni. Wszyscy uczyliśmy się od Homera, wszyscy od Eschylosa, który nam ukazał głęboką siłę losu i walkę przeciw niemu; który na wszystkie czasy dowiódł, że ci co posiadają potęgę, przeciwni są ogniom boskiemu, który ma być przyniesiony ludziom. A Sokrates i Platon — czyż nie byli naszymi nauczycielami? Wszyscy rozumiemy słowa idea i ideał. Ludy Europy nie odważyły się jeszcze dla tych najwyższych pojęć poszukać innych wyrazów. Dlatego jest nam wszystkim wspólną i najbliższą idea. Gdyby Platon i Sokrates tu przybyli i zapytali się: Co to za towarzystwo? Ateńczycy czy Tebańczycy? I co mówią o idei i ideale? natenczas musielibyśmy odpowiedzieć: Nie jesteśmy z Grecyi, ale z narodów, których nazwisk wy nigdyście nawet nie słyszeli, ale mimo to waszymi uczniami jesteśmy, uczniami, którzy idą za naukami waszemi i zbrali się tu na duchową i przyjacielką rozmowę dla znalezienia prawdy. Ci, co wspólnie prawdę odkryli, zespola się także i w przyjaźni. Nietylko przecież od Greków nauczyliśmy się, lecz i od Rzymian, a we wszystkich kościołach i świątyniach śpiewają się się te same psalmy i w całej Europie dla wszystkich ludzi istnieje jedno słowo wspólne, które do wszystkich dotarło kół — słowo *Amen!* Gdzie człowieka ogrzewa jedna myśl, tam ostatecznie wyraża się wszystko razem w tem jednym słowie, które oznacza wierność i wiarę. Słowo to jest wspólne wszystkim ludom europejskim, i dlatego mogą się one zgromadzać i uczyć od siebie wzajemnie. Przeznaczeniem indywidualności nie jest to, żeby zniknąć, lecz żeby dojść do równej wysokości z innemi. Stopień kultury każdego narodu pojedynczego mierzy się miarą indywidualności, jakie się w nim wytworzyły, a miara kultury w Europie zależy od stopnia, do jakiego wykształciły się pojedyncze ludy. Myślimy wyszyjcy według ogólnych prawdeł logiki; ale im więcej z tych prawdeł mamy w sobie, tem indywidualniejszym jest nasze myślenie — tembardziej uzdolnieni jesteśmy do tworzenia nowych myśli. Im więcej działamy dla ogółu, tem wyżej podnosimy swą indywidualność. Zebranie niniejsze jest małym początkiem, ale ten sam duch budzi się w rozmaitych kołach. W tych właśnie dniach zbrali się lekarze z całego świata w Londynie, geografowie w Wenecyi, orientaliści w Berlinie: wszędzie objawia się jedno i to samo usiłowanie w pojedynczych gałęziach wiedzy. Autorowie, poeci, przedstawiciele literatury narodowej przedewszystkiem wyobrażają w każdym narodzie to, co jest wspólnego — całość. Przedstawiciele literatury powszechnej zbrali się tu na kongres; wymieniać tu będą myśli swoje, a każdy wróci do domu wzbogacony, nie dla swej osoby lecz dla swego narodu. Ze względu na przyszłość daję pozdrowienie moje kongressowi międzynarodowemu!

II. *Mickiewicz Władysław: O przesądach* 1), pofrancuzku:

Przesady stanowią jedną z największych przeszkód do braterstwa ludów: obowiązkiem więc jest usuwać je ile możności. Stowarzyszenie Li-

1) Odczyt ten miał być drukowanym w „Presse“, lecz uznano, że jest zbyt wyłączny dla niemieckich czytelników. (P. Kor.)

zaden z nas nie byłby już użył za nic w świecie tego okrycia głowy, skalanego w naszych oczach więcej, niżeli błotem. Okryliśmy sobie głowy, jak było można, ten fularem, tamten szalem z szyi, a byli tacy, co rozdzielali na połowę te szale, aby udzielić koledze szmaty, zasłaniającej choć trochę od deszczu i wiatru. Podarki, któremi zegnały nas rano poczciwe mieszkanki Metz, przydały się teraz niezmiernie.

Ile noc, która wkrótce zapadła, przyniosła nam cierpienie — jest niewypowiedzianą rzeczą. Deszcz, drobny choć ciągły od rana, ustający nieco nad wieczorem, teraz rozpadał się, lał strumieniami. Przemoknięci do ostatniej nitki, zziębli, osłabli z głodu, znużeni nad wyraz, musieliśmy noc całą stać, tak jest: stać bez oparcia, chyba jeden o drugiego, w błocie, w wodzie wyżej kostek. Wiedzieliśmy wszyscy, że uledez zmęczeniu i położyć się w zimmem, niemal lodowatym błocie, znacząco już nie podnieść się jutro: nie żyć, albo stać się bryłą sparaliżowaną, bezwładną. Jednak niektórzy nie mogli wytrzymać, kładli się na płótnach namiotów, których rozbić nie było można, otulali się w koldry; ale przekonali się predko, że było to położenie nie do wytrzymania. Woda przedostała się zaraz przez płótno, ciężar ciała wygniatał dół, i koldra, jeżeli ją kto miał, stawała się gąbką dla zbierającej się pod nim wody. Więc też trzeba było dźwigać się na nogi, nawet takim, którzy tak już osłabli, że ledwo utrzymać się na nich mogli. Jeden drugiemu pożyczzał kolejno pleców na podpórę, inaczej mdlanoby, padano jak drzewa podcięte.

Jeden nieszcześliwy nie słuchał przecież ani uwag, ani prośb towarzyszy. — Muszę się położyć — powtarzał głucho — muszę się położyć.... Miał gorączkę i rzeczywiście tak był osłabionym, że trudno było, aby się utrzymał bez oparcia. a szkliste jego oczy przymykały się same, gdy mówił smutno: — Muszę....

Położył się też, można powiedzieć w kałuży i zdawało się, że zasnął natychmiast, gdy przecież po jakiej godzinie czasu, podszedłem do niego i nachyliłem się, aby mu trochę poprawić głowy, która grzęzła w błocie, przekonałem się, że nie żył.

Musiał się nieborak położyć — musiał....

Jeszcze dziś wytłómaczyć sobie nie mogę: jakim cudem nie pomarliśmy tak wszyscy, w czasie tej okrutnej, jak wieki długiej dla nas, nocy? Trzeba się było pilnować wzajem, trzeźwić i upominać jeden drugiego, lecz szczególnież Dulaurier był dla słabych biedaków prawdziwym aniołem stróżem; z czułością braterską, z tkliwością niemal kobiecą, macierzyńską, pocieszając, pokrzepiając na duchu, rachując im czas, który już upłynął. Gdyby każda kompania nieszczęsnej armii naszej była miała takiego opiekuna, mieszkańcy Metz nie byłiby nazajutrz patrzyli z boleścią, jak od rana do wieczora furgony pruskie zwoziły do miasta żołnierzy naszych, martwych i wyglądających jak trupy. Pokładzeni byli na wozy wzdłuż, jak drzewo, które się wiezie z lasu; zwieziono ich tak dwadzieścia tysięcy i składano w ambulansach, przed ambulansami, a gdy wreszcie można się było nimi zająć, pokazało się, że połowa już nie żyła. Dzieścię tysięcy umarło tej nocy z głodu i z zimna; lekarze spisali taki akt zejścia.

Nazajutrz o godzinie ósmej, gdy z jednej strony ładowano tamtych na wozy, nam rozdano chleb: dano, jak się wyrażali officerowie pruscy. Ale jaki chleb! Czarne, gliniaste, niedopieczone ciasto, wstrętne w smaku i niezdrowe, niestrawne w najwyższym stopniu; a my zjedliśmy je co do okruszyny, połknęli chciwie, zgłodnieli!

Zaraz po strawie niedoli, odmierzzonej nam bardzo skąpo, sformowano nas w kolumny i pomaszrowaliśmy gościncem Verny. Choć znużenie było ogromne, ruch i wydobyć się z bagniska, w którym przepędziliśmy noc, ożywiły nas. Krew zastygła zaczęła znów krążyć przy białych promieniach jesiennego słońca.

(Dalszy ciąg nastąpi).

terackie Międzynarodowe postawiło sobie za zadanie działać w tym kierunku, do czego w zętknięciu się pisarzy różnych narodów ma ułatwioną sposobność. Przedewszystkiem musi stowarzyszeniu chodzić o usunięcie przesądów w piśmiennictwie; pole zaś pod tym względem bardzo szerokie, bo zwykle autorowie, przedstawiając jakieś społeczeństwo, nie szczędzą barw jaskrawych i przesady w rysunku. Mnożą się nieprawdziwe, często złośliwe, opisy i charakterystyki; jeden kraj oddaje drugiemu wetzawet; wzajemne niesprawiedliwości lub obelgi zaostrzają stosunki między narodami. Najboleśniesz, a zatem najbardziej drażniące, są obelgi skierowane przeciw ojczyźnie, krzywdy wyrządzone całemu narodowi...

Świat często bardzo jest niesprawiedliwym. Dzisiejsi Grecy n. p. tak się zasłużyli około wolności, iż nazwisko ich powinno zająć zaszczytne miejsce wśród najbardziej bohaterskich narodów; tymczasem Europa zapomniała o ludź, który walczył za ideę, i widzi w Grekach tylko fanaryotów, karciarzy i oszustów. Mimo tylu błędnych wyobrażeń i niesłusznych zarzutów, mimo krzywd, jaką ludzkość od czasów Rzymian jeszcze wyrządzała Słowianom, przecież ci ostatni nie żywią zawziętości w swych sercach przeciw Zachodowi i nie są dlań niesprawiedliwymi. Żalność z powodu wielu przesądów i obelg, jakie spadają na narody słowiańskie, nie odbiła się w ich literaturze, która nie wytworzyła karykatur z cudzoziemskich typów. Słowianie, a w szczególności Polacy, są bardzo sprawiedliwymi dla obcych ludów i nie mają bynajmniej zarozumiałości niejednego narodu, uważającego, że nic nie może istnieć dobrego, coby z nich nie wyszło. W Polsce tłómaczą wiele obcych książek, a tłómaczonoby jeszcze więcej, gdyby na to pozwalały stosunki. Ten pochop do tłómaczeń pochodzi, nie z lenistwa ducha, ale z zapału, który nas zawsze unosi ku narodom posiadającym cywilizację, jeżeli nie starszą od naszej, to przynajmniej lepiej rozwiniętą. Jestto potężne dążenie do światła.

Nieraz już Niemcy n. p. byli względem nas niesprawiedliwymi; a przecież my zwracaliśmy się zawsze z sympatją do literatury niemieckiej. Romantyczna Szkoła Litewska z zapalem studyowała mistrzów niemieckich, wolna od obawy: czy nie ulegnie ich moralnej przewadze, bo sama czuła się silną przez wielkość ducha narodowego. Nasi najwięksi poeci składali hołdy niemieckim geniuszom. Zasada wolnej wymiany równie jest prawdziwą w świecie idei, jak w materyalnym świecie handlu i przemysłu. Ulubionym przedmiotem studyów naszego największego poety był Goethe, był Byron; mawiał on, iż za pomocą słownika stara się wniknąć w piękności Shakespeare'a, podobnie jak bogacz radby się dostać do nieba przez dziurkę od igły. Studyowanie wszakże angielskich pisarzy nie wytrącało Schillera z jego dłoni. My nie znamy manifestacji przeciw obcym pisarzom, pomimo, że obce literatury były nieraz gwałtowne i twarde przeciwko nam.

Przesady wobec innych narodów są u nas nadzwyczaj rzadkie. Czemże zresztą jest przesąd, jeżeli nie nadto śmiałym sądem o rzeczach, sądem, który lenistwo ducha tradycjonalnie powtarza? Życie rolnicze wyklucza przesady, gdyż jest życiem pełnem prostoty. Wieśniak, stojąc wobec przyrody, patrzając na nią, rozwija swą imaginację tylko na rzeczach pełnych prostoty, *sans chercher midi à quatorze heures*, i nie jest zdolnym do tworzenia przesądów. Zdawałoby się to parodoxem; a przecież jest prawdą. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, aby pomiędzy rolnikami nie było przesądów; ale te, które są, powstały wskutek usiłowań, aby wiarę zachwiać w narodzie. Gdy wiara znika, nie pozostaje na jej miejscu nic, jeno przesąd, to jest trupy dogmatów... Lud szanuje te resztki, nierozumiejąc ich, podobnie jak się działo w epoce, kiedy pogaństwo chyliło się do upadku.

Istnieje ortodoxya literacka, jak bywa ortodoxya religijna i polityczna; Polska nie miała ani jednej ani drugiej. W dziejach naszego narodu nie ma świadectwa o jakiegobądź rodzaju inkwizycji. W Polsce istniała taksamo wolność myśli literackiej, jak wolność opinii politycznych i wiary religijnej. Zawsze jesteśmy żołnierzami wolności, dzisiaj wolności literackiej, tak, jak niegdyś

byliśmy żołnierzami wolności politycznej i religijnej, począwszy od XVI wieku, od czasów, kiedy ani jedna ani druga nie miały w Europie sprzymierzeńców. Renesans grecko-rzymski pierw się rozpostarł po krajach Polski, aniżeli na Zachodzie; w narodzie polskim bowiem szerzył się wtedy, kiedy i we Włoszech. Jeżeli zaś wielkim było dla Polski postępowaniem przejmować się cywilizacją łacińską, to jest wychowywać się w duchu uniwersalnym, to przecież rozwój ten miał pewne niekorzyści. Naród przyjmował gwałtownie i szybko zanadto jeszcze dlań silne pożywienie polityczne, nie mając dość czasu na to, aby rozpoznać co z tradycyi rzymskiej, pogańskiej, mogło wyjść na pożytek chrześcijańskiemu ludowi, a co przynieść musiało szkodę. Wynikło ztąd, że przejęcie się formami Rzeczypospolitej Rzymskiej nie miało sprawiło zamieszanie w ideach Polaków, którzy, począwszy od XIV wieku, zajmowali się polityką — i zmyliło prostą drogę, którą naród iść był powinien. Analogiczne spostrzeżenie nasuwa nam się z powodu dążeń polskich w XVII i XVIII wieku, kiedy naród, zamiast czerpać siły w sobie samym i własne zdolności rozwijać, utonął w admiracji dla królewskiego absolutyzmu we Francyi; Warszawa brała dla siebie wzór z Wersalu.

Ze wszystkich rodzajów literatury literatura sarkastyczna była najbardziej obcą Słowianom. Wrodzona im gościnność, otwierając domowe wrota namiętności cudzoziemcom, mimowoli popychała ich do uwielbiania gości obcych, a najdotkliwsze rozczarowania nie zdołały w tej mierze spowodować reakcji. Rozczarowań swych wobec Zachodu nie wyrażali Polacy w żadnej epoce, ani w książkach, ani na scenie; przedewszystkiem zaś nie oskarżali nigdy wielkich geniuszów literackich zagranicą, rozumiejąc dobrze, iż geniusz nie jest posłany tylko dla swego, ale dla wszystkich narodów. Prawda moralna oświeca, podobnie jak promień słoneczny, obie półkule jedną po drugiej. Klęski wyrobiły w Polakach niedowierzanie samym sobie, a przychylny popęd ku obcym. Kierunek ten umysłów odbił się w literaturze. Romansopisarze zajmują się tylko własnym krajem, wytykają tylko własne błędy, aby je poprawić, obcych stawiając nieraz za przykład. Nasi najwięksi autorowie, tworząc swe dzieła poza granicami kraju, wznosili się z łatwością na najwyższe szczyty bezstronności. W XVIII wieku Krasicki, najsarkastyczniejszy nasz poeta, każe odbywać podróże szlachećowi po krajach obcych, aby się w nich czegoś lepszego nauczył. Szydzą on z rzeczy powierzchownych, ale podnosi to, co godne pochwały. — Wybitną też jest cechą naszej literatury, że ośmiesza ona tylko małpowanie zagranicą, nie zaś samych cudzoziemców, uderza tylko na złe kopie, a nie na oryginały. Owszem dostrzega w obcych raczej dobre, aniżeli złe strony. W najbardziej popularnym poemacie tego wieku jedynym typem łotra — jest typ wynarodowionego Polaka. Występująca w tym poemacie postać rossyjska jest szczerze sympatyczną. Henryk Rzewuski, malując sceny z Konfederacji Barskiej, uwydatnia prawie zabobonny szacunek ówczesnych Polaków dla pedantycznej trochę nauki wojskowej Francuzów XVIII wieku. Korzeniowski pisze komedią pod t.: *Zydz*, w której przedstawia żyda pełnego szlachetności, a szlachcica niegodziwego.

Nasz przesąd — to wiara w Zachód, wiara, że ten Zachód, któremu winniśmy wszystkie przesady naukowe, przyniesie nam także postęp humanitarny. Nasza wiara w Zachód przetrwała wszystkie nasze rozczarowania.

Zasady Międzynarodowego Stowarzyszenia Literackiego dają nam dobrą wróżbę, gdyż poszanowanie własności literackiej nie jest w rzeczywistości niczem innym, jeno poszanowaniem własności narodowej, a wolność myśli niczem innym, jeno możliwością rozwoju wszelkiej innej wolności. Mijemy nadzieję, że się wkrótce nad Dunajem spełni to, czego przykład widzimy na przestrzeni od źródła Renu aż po stopy Alp, to jest w Szwajcaryi: próbę braterstwa różnorodnych szczepów, dokonywanego przez wykorzenie wzajemnych przesądów i podniesienie tego, co te szczepy mają w sobie najlepszego.

Piękne to było słowo, które wyrzekł, umierając,

wielki wojownik naszego wieku: że dopóki się będą były narody w Europie, dopóty będzie w Europie wojna domowa. Oby jaknajprędzej nadszedł ten dzień, w którym wszystkie narody europejskie będą stały naprzeciw siebie, tak jak dzisiaj prowincye kraju o jednej narodowości: dawniej nieprzyjazne sobie i przesadami poprzedzielane, dzisiaj blizkie siebie, bo przesady znikły czasami przed miłością ojczyzny! Również przesady rozdzielające narody jednego kontynentu zniknąć muszą. A niemałą to będzie zasługą Międzynarodowego Stowarzyszenia Literackiego, że się przyłożyło do tej wielkiej pracy.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 6 Października 1881 r.

Cisza literacka i zamęt polityczny we Francyi. — Kilka nowych ilustracji. — Studium nad malarstwem z zeszłego wieku *Boucher'em*. — Szósta księga *Bajek Lafontaine'a* przez *Delierre'a*. — *Powiesci T. Gautier'a*, ilustr. *Talnet'a* i *Jascelka paryzkie*, *Dra nera*. — Nowe powieści: *Książka myślicy p. Digue't'a*. — *Le Plan d'Hélène p. Racot'a*. — *Król Dziewicy Mendesa* i *P. Minister Clarétiogo*. — Nowy awatar *Sacher-Masocha*: *przełąd międzynarodowy*. — Programmat i przynęta. — Powieści moralne: *Mistrz de Tianec* przez pannę *Lachèze*. — Piękny cel i znakomite wykonanie zadania. — Kolosalne honorarium za malutką broszurkę *Févala*. — *Chmury nad Rzymem*. — Ostatnie przemówienie *Ojca Świętego*. — Nowa książka p. *Bardoux'a* i jej związek z zadaniem religijnem Francyi. — Rozbiór i konkluzje.

Polityka, wybory, polowanie, bo tu we Francyi Wrzesień otwiera pole dla myśliwych i Paryżanów ciągnie do lasu, zamknęły doreszty służy literatury. Czujemy jakby osłabienie tętnicy pisarskiej, chociaż prasy dziennikarskie nie próżnują wcale. Wyprawa tunetańska i walka Opportunistów z Intransigentami, dostarcza materiału i wątku, który, jeżeli nie zaleca się wcale uprzejmością i gładkością pióra, wydobywa za to na wierzech wszelkie mety namiętności i języka. Żyjemy w czasach, w których pieprze przymiotniki są monetą zdawkową polityki, mającej dziś główne swe siedlisko w szynku, w knajpie, jak powiadają u Niemców. Co może zyskać kraj, społecność, ludzkość, na takim odmęcie pojęć i uczuć: trudno zrozumieć. Idziemy tu śpieszonym i forsownym marszem do ostatecznego rozprzeżenia społeczeństwa, którego, dawne, stare węzły rwą się na wszystkie strony. Jest to jakby stara beczka o spaczonych obęczkach, o rozchwianych klepkach, z której, wino, czy woda, leje się i ucieka, bez ratunku! Czyż-by stare a pogańskie w treści swej przysłowie: — „kogo Bóg chce zgubić, temu rozum odbiera“, miało się sprawdzić tutaj? Nie chce się wierzyć; bo jest w nas coś, co przemawia i błaga, a jednak prawda codziennie w oczy kole, a chociaż tu masa ludzi, nie widać jeszcze człowieka!

A jednak, pomimo to wszystko, życie tu pędzi swoją drogą, i ci, którzy się z nim mordują o wygrana, muszą iść naprzód — zawsze, ciągle naprzód, bez wytchnienia i spoczynku. To też odważni wydawcy nie zaniebali przynieść na targ codzienny płódów uzbieranego troskliwie żniwa. Widać jednak, że to nie pora na kwiaty, na te wytworne kreacje, z którymi umysł ludzki lubi się pieścić w pokoju. Wydania artystyczne prawie zupełnie gdzieś znikły i oprócz pięknego studjum, którego przedmiotem jest znakomity malarz francuzki z XVIII wieku *Boucher*, nie widzę żadnej innej nowości w tym zakresie. Studium to jest książką ciekawą i nauczającą dla tych, którzy mają czas jeszcze i chęć obcować, jak to mawiali ojcowie nasi, z Muzami. Ta, wybornie napisana, monografia stanowi część zbioru wydawnictwa *Quatina*, znanego pod tytułem ogólnym: *Sztuka w XVIII wieku*, którą rozpoczęli bracia *Goncourtowie*. Cóż jeszcze? *VI Księga bajek i powieści Lafontaine'a*, niezmiernie dowcipnie i biegle ilustrowana przez *Delierre'a*, którego czysty rysunek i mistrzowski prawdziwie rylec jest jakby umysłnie stworzony do ilustrowania, nieśmiertelnego i niezrównanego w swej sztuce, bajkopisarza.

Wspomnijmy tu również o tym ślicznym zeszy- cie dziesięciu rycin *à l'aqua forte*, przeznaczonych do ilustracji *Powieści Teofila Gautier'a*; jest to dzieło współpracownictwa pp. Poirsona i Talneta, i dowodzi, oprócz wielkiej biegłości w kompozycji i układzie, gruntownej znajomości wszystkich za- sobów aqua-forty. Nakoniec wesóły urywek fran- cuzkiego sprytu: *Les Tréteau Parisiens*, z ilustracy- ami Dranera, zamyka ten zbiór artystyczny, w którym wszystko się znajdzie, a szczególnie do- weip.

P. Karol Dignet, powieściopisarz, który otrzy- mał *pochwalną wzmiankę* (mention honorable) od Akademii Francuzkiej, za swoją ostatnią powieść *Ja i ów* (Moi et l'autre), wydał nową książkę, ści- śle zastosowaną do okoliczności i czasu, *Książkę myśliwego* (Le livre du Chasseur). Spory ten tom, ilustrowany przez p. Riboillier'a, pełny doskona- łych informacji specjalnych, rozchwytyany został w dwóch pierwszych wydaniach; co, mówiąc mi- ędzy nami, nie dowodzi jeszcze ważności dzieła, ale daje mu dobrą notę.

U wydawcy Dentu wyszła powieść p. Adolfa Racot'a *Le Plan d'Helène*; ukazała się ona na- przód w odciku *Figaro*, co jej nadaje pewne piętno wziętości. Jest to jedna z tych pośrednich pro- dukcyj literatury brukowej paryzkiej, które stoją na granicy dzielącej dawny romantyzm od nowo- go pozytywizmu czy naturalizmu, jak się wam po- doba. Osnuta na pewnym wypadku, który naro- bił trochę hałasu, kilka lat temu, za kulisami je- dnegu z tutejszych mniejszych teatrów, ale wplą- tana w intrygę zagmatwaną, której wynalezienie należy całkiem do imaginacji autora, przedsta- wia ona utwór w rodzaju jakby umyślnie do dzien- nikarskich odcinków przeznaczonym, gdzie dosyć jest obudzić ciekawość czytelnika w pierwszych rozdziałach powieści, aby potem, włokąc się jak po grudzie, doprowadzić go, nolens volens, do ja- kiegobądź końca. Wspominam tu o tej powieści dlatego jedynie, że liche przyjacielskie reklamy, których mu nie żałowano wcale, mogą wprowadzić w błąd nieznającego tutejszych stosunków czy- telnika.

Podobne ostrzeżenie należy się z mej strony czytelnikom naszym, co do dwóch innych jeszcze powieści, bardzo chwalonych, bardzo zalecanych, pod wpływem wszechmocnych wydawców. Mówię tu: o *Dziewiczym królu* (Le Roi Vierge) p. Cat- tulla Mendès'a i o *Panu Ministrze* (Monsieur le Ministre) p. Clarétie'go.

Pierwsza jest pewnego rodzaju fantazyą, na te- mat legendy, krążącej po Francji o królu Ludwi- ku Bawarskim. Fantazyja ta, pisana jest wido- cznie z namysłem, aby pochwalić i upiększyć, ile można, główną postać bohatera. Wiadome są wybryki i zachcianki tego niemieckiego królika, a jeżeli w rzeczywiścieści, mogą one czasem zabawić, jako facecje ukoronowanego oryginała, w po- wieści, wydają się niesmacznymi i wstrętnymi; nie mają ani dowcipu, ani nawet drugorzęd- nego talentu pisarskiego.

O *Panu Ministrze* Juliusza Clarétie tożsamo po- wiedzieć można, pomimo przesadzonych pochwał jego przyjaciół. Miało to być niby studjum z na- tury, jak to wprowadzają tu dziś w modę, mó- wiąc o powieściach, jakby o wysokich nauko- wych traktatach. Może niegdyś było to zamiarem autora, bo jak się pokazuje, plan i główne roz- działy tej powieści datują jeszcze z czasów Cesar- stwa. Wówczas Clarétie, będący w opozycji dro- bniejszych dzienników, miał może zamiar zaryso- wać z natury jaką postać wszechmocnego ministra; ale zamiar ten nie przyszedł do skutku narazie, a powieść, w ułamkach odłożona na bok, po kilku- nastu dopiero latach doczekała się zmartwychpo- wstania — na wiadomość, że ktoś, coś podobnego napisać zamierza. Ażeby więc uprzędzić kon- kurenta, napręde i dorywczo napisano powieść i nie ma ona żadnej z tych nawet zalet, jakich płodny autor dał na innym miejscu nieraz do- wody. Aby uniknąć wszelkiego podejrzenia, że osobistość ministra może być zarysowana z natu- ry, Clarétie stara się tak wyglądzić, wymuskać, główną postać utworu swojego, że nie zostaje tu nic a nic, coby mogło zadrasnąć demokratyczną obrazliwość dzisiejszych mecenasów. Powieść cała, jako układ i opowiadanie, jest blahą; a jako

obrazek obyczajowy, aż do znudzenia powszednią.

W tej chwili odbieram dziwny prospekt dzi- wnego wydawnictwa. *Obstupui!* czytając warunki tego projektu. Oto nasz — jak naszym jest lis, co nam kury kradnie, lub wilk, co nam konie zjada — nasz sławny Sacher-Masoch, znowu się przypo- mniał uczonemu światu, i oto, co nam mówi:

„Sławny powieściopisarz *galicyjski* (tak) Sa- cher-Masoch, którego znakomite (!!) dzieła dobrze są znane we Francji, założył właśnie nowy *prze- gląd międzynarodowy* (widocznie internacjonalność wchodzi w modę wraz z kongressem) który ma za tytuł: *Auf der Höhe!* (Na wysokości! tego mu tylko brakowało!) Publikacja ta, która ma na celu, zbliże- nie ku sobie pisarzy rozmaitych narodów, opierać się będzie na zasadach *wysokiej bezstronności, spra- wiedliwości i braterstwa*. Wydzieli ona — i tu właśnie, mówiąc językiem używanym przez p. Sacher-Ma- socha, *hier liegt der Hund begraben!* — wydzieli ona szczególnie piękny obszar swych łańców, dla pi- smiennictwa francuzkiego i dobroczynnego geniu- szu tego narodu. Między współpracownikami francuzkimi Sacher-Masocha zaznaczyć należy najpierw: panią Adam'ową „znakomitą“ dyre- ktorkę *Nowego Przeglądu* (Le Nouvelle Revue) i przyjaciółkę sławnego księcia Giedroicia; pp. Al- fonsa Daudet'a, Emila Augier'a, Ernesta Renana, Saint-Saëns'a, Got'a i t. d. Pierwszy numer tego *przeglądu* miał się ukazać w Lipsku dnia 1 Paź- dziernika.

Wspomniałem wyżej nazwisko autora, który otrzymał *pochlebny czy zaszczytny wzmiankę* Aka- demii Francuzkiej za jedną ze swych powieści: nie mogę więc tu pominąć i drugiego nazwiska, które spotkał podobny zaszczyt, tembardziej, że tym autorem jest kobieta, panna Marta Lachèze. Akademia Francuzka uwienoczyła swym przy- znaniami pochwały pierwsze jej dzieło, noszące troche dziwny tytuł: *La pupille de Salomon*. Na- stępnie autorka ogłosiła *Le mariage de René*, stu- dyum wysokiej wartości moralnej; dziś doczekało się ono już piątego wydania, na czele którego czytamy piękny i poruszający swoją prostotą list x. biskupa z Evreux.

W czasach, w jakich żyjemy, książka moralna we Francji, napisana z talentem prawdziwym, jest prawdziwie *rara avis*; wypada więc tu jeszcze kilka słów powiedzieć dla wskazania: gdzie moż- na znaleźć piękność połączoną z zachością. *Maitre le Tianec*, nowa powieść panny Lachèze, ustali wziętość młodej autorki. Jest to poruszający dra- mat, ale odegrany się on całkiem w sumieniu ludzkim. Pół wieku temu znaczny spadek po- chwycony i przywłaszczony został nieprawnie przez brata spadkodawcy, ze szkodą pozostałych sierot. Jedno z tych dzieci, kobieta, która przy- padkiem wpadła na trop dobrze chowanej tajem- niczy, stara się otrzymać zwrót fortuny, do czego jej przecież braknie dowodów prawnych. Uda- je się więc do adwokata z Angers, niejakiego p. Le Tianec, młodego człowieka, wielkiej nauki i większej jeszcze zachości. Ten p. Le Tianec jest właśnie przyjacielem rodziny, którą ta sprawa, gdyby wygraną została, ruinuje; przecież nie od- rzuca dlatego uczynionej mu propozycji: przeci- wnie, przyjmuje ją z ochotą. Dowody, których braknie, on je znajduje, a kiedy znalezione wskazują mu jasno, że ograbiono sieroty, wła- snym majątkiem płaci ten dług sumienia. Rui- nuje się tym sposobem, ale rodzina La Jousse- lien'ów jest ocaloną, ani się domyślając nawet niebezpieczeństwa, które jej groziło.

Zapewne pomyśli tu czytelnik, że był do tego powód. Tak: pan Le Tianec znajduje nagro- dę, która mu opłaca ofiarę, bo inaczejby to nie było połudzku, ale poanielsku, i o tem dowie się łatwo każdy z czytelników moich, jeśli zajrzy do tej książeczki, nierównie bardziej interesującej, żywszej w tej białej szacie silnej i zdrowej poczci- wości, niż owe wszystkie tak przepieprzone a tak szkodliwe książki, szkoły nowożytnej. Potrzeba bowiem wiedzieć, że na tych kartkach czystych i głęboko wzruszających, niema ani jednego obry- zgu paryzkiego błota; radość rodzinnej zagro- dy, świętość domowej ustroni, nieprzerwany spo- kój życia na prowincyi. rzadko znalazły pisarza równie wymownego, i tak przekonanego głęboko, jak panna Lachèze.

Z prawdziwą rozkoszą zamknąłem tę książkę, pocieszony i zbudowany. Piszę i wołam, że to wy- borne dzieło pełne jest pociechy, gorzkiej czasem może, ale umacniającej ducha zawsze — i że, czy- tając je tam, nad brzegiem rozległego Oceanu, czułem w niej tężsamą głębokość, i tężsamą nie- pojętą wielkość, która porywa i unosi ducha na- szego, w lepsze, szlachetniejsze sfery ku źródłom wieczystej piękności.

Dwa lata temu pan Paweł Féval, napisał niewielką broszurkę, pod tytułem: *Denier du Sacrè-Coeur*; dochód z jej przedaży autor przeznaczył na dochód budowy kościoła pod wezwaniem „Naj- świętszego serca“, budującego się od kilku lat na wysokościach Montmatre w Paryżu.

Féval mieszka teraz, jak to pisałem wam da- wniej, na wsi, w Clignancourt pod Paryżem. Kilka dni temu odebrał od swego wydawcy, jako hono- rarium, nowy przekaz, który dołączony do ode- branych summ poprzednio, stanowi niesłychaną kwotę „osmiudziesięciu sześciu tysięcy franków. Są więc jeszcze ludzie wierzący, a podwaliny reli- gijnych uczuć głębiej sięgają, niżeli się to zdawać może tym, którzy myślą, iż dosyć jest dmuchnąć, aby wszystko co jest religią, zniknęło z powierz- chni ziemskiej.

(Dokończenie nastąpi)

ADOLF ERYK NORDENSKJÖLD

1 ODKRYCIE PÓŁN.-WSCHODNIEJ DROGI PODBIEGUNWEJ

w. dlug prof. J. Gerlanda w Strasburgu.

(Dalszy ciąg)

Jeżeli rozumne i przezorne ułożenie planu wy- prawy wiele przyczyniło się do jej powodzenia, to wszakże zupełne zwycięstwo odnieść mógł tyl- ko charakter taki, jak Nordenskjölda. Wyłącznie swojemu celowi oddany, wytrawny i daleko pa- trzący w osnuciu planów, niezawisły, odważny, zdolny do poświęceń, bezinteresowny, stanowczy i energiczny w działaniu: takim staje przed nami wielki podróżnik, wyposażony tem idealnem uspo- sobieniem ducha, które poświęca chętnie wszystko dla ideałów natchnienia. Z surową powagą łączy się w nim uprzejmość, spokój i skromność.

Niemaló też zasłużyli się około powodzenia wyprawy inni jej uczestnicy: wyborne kierowni- ctwo okrętem przez Palandra, gorliwość officerów i uczonych „Wegi“, duch poświęcenia, ożywiający załogę, złożoną z 19 ochotników, wybranych zpo- między wielu, którzy się zgłosili. Prócz kommen- danta „Wegi“, kapitana Palandra, składała się załoga z następujących osób: drugiego kommen- danta, porucznika F. Brusevitz'a, maszynisty F. A. Pettersona, sternika R. Nilsona, trzech palaczy, ośmiu majtków, siedmiu wiosłarzy i jednego cieśli. Grono naukowe tworzyli: Nordenskjöld, kapitan A. Hovgaard, z duńskiej, porucznik G. Bove z włoskiej marynarki, hydrograf, Dr R. Kjellmann, botanik, Dr A. Stuzberg, zoolog, Dr S. Almquist, lekarz okrętowy i botanik, porucznik O. Nordquist, zoolog a zarazem tłómacz wyprawy. Okręt „We- ga“ zbudowanym został w r. 1872—3 w Bremie i służyć miał pierwotnie do połowu wielorybów; ma 500 ton objętości, długość pokładu wynosi 150, szerokość 29 stóp bremeńskich. Maszyna, o sile 60 koni, bieży z szybkością siedmiu węzłów; flaga królewsko-szwedzkiego yacht-klubu.

Czyśmy wszakże w oceniu wyprawy nie do- puścili się przesady? Czy istotnie dotarła ona po- myślnie aż do kresu? Czyż, będąc blisko niego, nie ugrzęzła w lodach? To prawda. Ale cóż to stanowi? To przymarzenie takdalece nie wpły-nęło na dobry wynik dzieła, że można je ra- cziej nazwać szczęśliwym wypadkiem. To pewna, że zgotowało ono uczestnikom wyprawy parę dni troski i rozczerowania; dla umiętności jednak to właśnie przymusowe zatrzymanie się wyprawy, stan wi źródło najwyższego zadowolenia: wskutek

niego bowiem wciągnięto w sferę badań niezmiernie dla nauki ważne okolice północno-wschodniej Azji, wskutek niego umożliwiono badania etnologiczne, uzupełniły zdobycze na niwie zwierzęcej i roślinnej geografii.

Wszystko więc w tej podróży jest zasługą. Jeżeli zapagniemy przyozdobić niezwykłym wieńcem skronie naszych bohaterów Północy, to chyba przyjdzie nam ująć w rękę garść kwiatów, które oni tam zerwali, to znaczy innymi słowy: uprzytomnić sobie dokładnie, w czym polega doniosłość ich tryumfu.

II.

Przedewszystkiem zawdzięcza wyprawie Ad. Er. Nordenskjölda znakomite zdobycze wiedzy o kształtach i podziale mórz i lądów, topografia ziemi czyli „geografia“ w ściślejszem słowa znaczeniu. Rzecz to istotnie podziwu godna, ilu zmianom uległa w ostatnich dwudziestu latach mapa północnej Azji. Porównajmy tylko kształt jej w powszechnie znanym atlasie Stieler'a, a mianowicie w jego wydaniach z lat 1858, 1876 i 1880, (ostatnie wyszło już po powrocie Nordenskjölda). W roku 1858 wyspa Tajmir (na północno-zachodnim wybrzeżu Syberii) stanowi jeszcze długi, śpiczasty półwysp; w r. 1873 Pettermann odważa się już odłączyć ją od lądu, ale kieruje się tylko hipotezą, a Kiepert jeszcze w r. 1875 widzi w niej podawnemu półwysp. Wyprawa Nordenskjölda rozstrzygnęła pytanie to raznaawsze; Palander bowiem i Hovgaard przepłynęli w barce parowej wąską, płytką i skalistą cieśninę, dzielącą wyspę od lądu stałego. Również odkrył Nordenskjöld szereg małych wyseppek dokoła Tajmiru, których nie znajdziesz dotąd na żadnej mapie, a zasługuje na uwagę przypuszczenie, iż wyspa ta została innym jeszcze wąskim przesmykiem wodnym rozlaną. Takie rozpadanie się jednolitych wysp w drobne gromady, spotykamy w innych wyspach systematycznych, szczególnie zdarzają się one nader często w archipelagach podbiegunowych. Nową Ziemią i wiele grup północno-amerykańskich, dostarczają też wymownych analogij. Jak się takie wytwory dokonywać zwykły? nie można jeszcze dokładnie orzec; wyprawy biegunowe dostarczają bowiem dopiero luźnego materiału spostrzeżeń. Również nierozstrzygniętą jest dotąd kwestya wznoszenia się i opadania wybrzeży północno-syberyjskich.

Do najświetniejszych czynów wyprawy Nordenskjölda i jego towarzyszy należy zbadanie najdalej na północ wysuniętego cypla starego świata: owych trzech półwyspów północno-zachodniej Syberii, około przylądka Czeluskin, których kształt w ogólnych zarysach—o szczegóły nie chodzi—sprawdzonym został poraz pierwszy przez osadę „Wegi“. Pierwszy z nich umieszczano dotychczas błędnie o 5° za daleko na Wschód, tak, że tracił przez to właściwy swój charakter łukowato sklepionego półwyspu. Charakter ten przywrócił mu Nordenskjöld. Wogóle fałszywie rysowano dotychczas tę zajmującą grupę półwyspów; podczas kiedy północnemu nadawano kształt podłużny a wąski, wschodni natomiast zdumiewał nienaturalnym, nieorganicznym wygięciem się ku wschodowi. Teoretycy powątpiewali zawsze o ścisłości podawanych na mapach zarysów tej grupy geograficznej; znajdowali oni, że na tak małej przestrzeni tak wybitne różnice w ukształtowaniu się powierzchni lądu są nieprawdopodobne. Wyprawa Nordenskjölda i plany wybrzeży tajmirskich, zdjęte przez Palandra, dowodzą słuszności ich powątpiewań. Podróżnicy ci wyznają, nie na chlubę dawniejszych podróżników i mapografów, że

po znacznych przestrzeniach lądu, umieszczonych na mapach geograficznych, musieli pływać okrętem lub barkami, a spory kawał morza przebrnęli suchą stopą.

Zdjęcie dokładnych planów wybrzeża, w niektórych zaś okolicach na wschodzie, nawet zbliżenie się do nich, było rzeczą niemożliwą, ponieważ, dla płytkości brzegów i licznych ław piaszczystych, okręt krążyć musiał zdala od nich, po pełnem morzu. To prowadzi nas do zauważenia nowej zdobyczy wyprawy Nordenskjölda, ważnej dla nauki, choć niewygodnej dla żeglugi. Jak ławy piaszczyste na wschodzie, tak, począwszy od ujścia Jeniseju aż do wyspy Tajmir na wschodzie, rozciągają się długim łańcuchem drobne wysepki równoległe z biegiem wybrzeży stałego lądu, o których dotychczasowe mapy Syberii nic nie wiedziały. Utworzone są one przeważnie z bloków granitowych. Najważniejsze z nich zbałał i nazwał Nordenskjöld.

Jakiż jest obraz ogólny tych okolic podbiegunowych starego lądu? Wogóle niezmiernie monotony; wspaniałych pejzażów grenlandzkich niema tu śladu. Wszystko przytem obleka się w grubą całość gęstej, ciężkiej, gniotącej mgły; widnokrąg wyjaśnia się rzadko i przelotnie. Oto, co pisze kapitan Hovgaard o przylądku Sterlegow, na zachód wyspy Tajmir: — „Cudowną mieliśmy podróż; na południe ziemia Tajmirska kąpie się w szkarłatach słońca, którego promienie przez odbicie rzucają się na widnokrąg północny, podczas gdy lód odzwierciedla się, jak tęczowe widzenie, w powietrzu i przybiera fantastyczne kształty“. Z największym wyteżeniem oczekiwano pojawienia się Przylądka Północnego. Przez cały dzień—pisze w jednym ze swoich listów Dr Stuzberg,—chodziliśmy po pokładzie, to wprawo, to wlewo, ciekawie śledząc okiem w kierunku północno-wschodnim, aby nie stracić pierwszego spojrzenia na przylądek Czeluskin, ów cel naszych marzeń, przedmiot ustawicznych rozmów i studyów.—Nordenskjöld podzielał ogólną niecierpliwosć. Mgła—mówi on—zakrywała widok i obawiałem się już, że najpółnocniejszy cypel Azji okaże się tak otoczony lodem, iż niepodobna będzie wylądować na nim. Wkrótce jednak błysnął na północnym wschodzie śpiczasty cypel, wolny od lodowego pancerza. Mała, otwarta ku północy, podówczas niezajęta lodem, zatoka wrzyna się tutaj w ląd stały. Tu więc okręt zarzucił kotwicę, dnia 19 Sierpnia o 6-ej godzinie zrana. Ryknęliśmy z działa. Pierwszy cel naszej podróży osiągnięty: najdalej ku północy wysunięty punkt stałego lądu zdobyty.

Od północno-wschodniej strony przylądka ciągnie się, równoległe z wybrzeżem wschodnim, grzbiet górski, zlekka ku niemu pochylony w kierunku południowym, i urasta stopniowo do 1,000 stóp wysokości. Zarówno grzbiet ów, jak płaszczyna, wolne były podówczas od śniegu. Tu i owdzie tylko widać było wielkie łożyska śnieżne w zagłębieniach i rozpadlinach. Na wybrzeżach leżały strome pokłady lodu. Ziemia tu jest gliniasta i lysa, porozpadana w częściach. Formacja gór łupkowa, obfitująca w kryształki krzemienne, tu i owdzie przerznięta potężnymi żyłami kwarcowemi. Wegetacja rozwinięta, lecz jednostajna; Dr Kjellman znalazł tylko 24 gatunki jawnopłciowe. Możliwość sądzić—pisze on—że rośliny półwyspu Czeluskin miały zamiar wędrować dalej na północ, ale, dotarłszy do morza, musiały zaniechać podróży. Tu bowiem na szczyłej przestrzeni znaleźliśmy nagromadzone prawie wszystkie gatunki jawno- i skrytopłciowe, jakie napotkaliśmy w głębi kraju, a wielu z nich nie dostrzyliśmy w odleglejszych od brzegu okolicach. Równie jednostajnie przedstawiło się życie zwierzęce; lądowych zwierząt ssących prawie nie było, natomiast mnóstwo ryb i różnych gatunków zwierząt morskich.

rzęce; lądowych zwierząt ssących prawie nie było, natomiast mnóstwo ryb i różnych gatunków zwierząt morskich.

Jakże wesołym i charakterystycznym jest obraz gorączkowej ruchliwości, z jaką podróżnicy wzięli się do zbadania tych nieznanych przestworów! „Tu jedna grupa zajęła się wymiarem geograficznego położenia półwyspu; tam ustawiono odpowiednie narzędzia, aby zbadać nachylenie igły magnesowej! Tu ktoś oskardem i młotem stara się odłupać kawałek skały; tam inny z puszką, na plecach pożera chciwie rękami wegetacją roślinną; tu zoolog, obładowany fiolkami ze spirytusem, odwraca ostrożnie głazy, uganiając się za chrząszczami; tam ktoś czuwa nad brzegiem z łufą strzelby, czyhając na zbliżenie się ptaka morskiego, a jeszcze ktoś inny stanął odważnie na głazie lodowym i chciwie spojrzeniem ściga uchodzącego niedźwiedzia. Nareszcie część załogi zarzuca sieci w morze, aby obdarzyć przyrodników porostem lub rybą morską“.

Podążmy teraz dalej na wschód. Wspomniana poprzednio płytkość brzegów piaszczystych nie pozwalała podróżnym zbliżać się do lądu i wysp syberyjskich, które gorąco pragnęli zwiedzić.

Mimo tego wyprawa wzdłuż całego północnego Syberii dokonała licznych pomiarów i sprostowań dotychczasowych map lądu północno-azyatyckiego. Nie możemy tu wszakże wdawać się w szczegóły. Jak o ziemi tajmirskiej, tak i o kraju Czukczów, stanowiącym granicę tego lądu ku cieśninie Behringa, podaje Nordenskjöld szereg niezmiernie ważnych dla geografii fizycznej objaśnień: kraina ta tworzy rozległą falistą płaszczynę, która, idąc w głąb lądu, według zeznań krajowców, podnosi się w łańcuchy górskie o nieposłedniej wysokości. Widziano góry wysokie na 1000'. Wśród płaszczyny napotykała podróżni szerokie laguny, ławami piaszczystymi oddzielone od morza. I tutaj, jak na Przylądku Czeluskin, flora wzbogaca się ku brzegom morskim, a w pobliżu gór przybiera nawet bujne kształty. W końcu Września, w chwili gdy „Wega“ przymarża, ląd był również zmarzły, ale śniegu jeszcze nie napotkano. Lodowców nie znaleziono w ogóle na całej przestrzeni od Morza Białego aż do cieśniny Behringa. Kształty wybrzeża przypominają częstokroć ruiny zapadłych miast, zburzonych świątyń i pałaców. Wyższych gatunków ssących niemasz i tutaj; ptaki rzadkie. Na wiosnę tylko widziano wielkie gromady ptactwa, lecące na północ, poza morze, z kądem naturalny wniosek, że pomiędzy ziemią Wrangla i podbiegunowemi wyspami Ameryki znajdują się rozległe przestrzenie stałego lądu z górami, dolinami, skałami i lodowcami.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Sprostowanie.

W Nr 41 *Bluszcza* na kolumnie 322-ej, w samym początku opowiadania: *Ostatni list*, po wyrazach: „Wtrąciłem się do rozmowy“, opuszczono wyrazy: „To mnie wywołują“. Na to odezwanie się Romana dopiero mówi Pierwszy Tenor:—„Może i panna. Wyjdźcie więc, panowie razem“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się półarkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Warto się namyśleć*.

Ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Wieczorne pieśni, (poezya), przez Maryą Konopnicką. — Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch..... — Podania o śpiących rycerzach, (dokończenie), przez Bronisława Grabowskiego. — Szeregowiec, wspomnienie, (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna, (dalszy ciąg), (Wiedeń). — *Nowiny paryżkie*. — Adolf Eryk Nordenskjöld, (dalszy ciąg), według profesora J. Gerlanda.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Ноября 1881 года.